

# Sześćdziesiąt cztery pola

**J. MADISON DAVIS**

Był gorący letni wieczór, kilka domów dalej ktoś ciągle przełączał swoje radio od jednej kiepskiej piosenki do innej. Nalałem sobie świeżego Scotch, ustawiłem butelkę na przeciwnej stronie szachownicy i oparłem na niej otwartą książkę. Przerabiałem siódmą partię z szachowych mistrzostw świata z 1927 roku, myśląc jak to możliwe, że Aleksander Alechin tego nie zauważył. Spędził całe lata przygotowując się do walki z Raoulem Capablancą i już miał odebrać mu tytuł, kiedy Kubańczyk ruszył gońcem na g5! To musiało być jak policzek od kobiety, która przed chwila ścisnęła twoje udo. Wiesz, że jesteś skończony, ale nie pojmujesz jak mogłeś tego nie zauważyć. Są przecież tylko sześćdziesiąt cztery pola i szesnaście figur.

Właśnie podniosłem gońca, kiedy jakiś facet, około sześć stóp wzrostu i wagi autobusu w godzinach szczytu, otworzył z trzaskiem drzwi wejściowe. – Nie ruszaj się, bo pożałujesz! - warknął.

- To ruch Alechina - powiedziałem. - Nie mój.

Próbował to przetrwać przez chwilę, podczas gdy drugi, mniejszy mężczyzna błysnął odznaką policyjną.

- Ty jesteś Marlowe? Odstawiłem gońca.

- Dużo słyszałem o tobie - powiedział. – A myślałem, że to spotkanie z Mae West było rozczarowaniem!

- Ukradła moje kosmetyki, kiedy ją rzuciłem - powiedziałem. – Twoje chyba też, sądząc po twarzy.

- Mówią że był z ciebie sprytny dupek - powiedział duży policjant. – I wygadany. Może twój czas już się skończył.

- Może - odpowiedziałem.

Mały glina wyciągnął celofanową kopertę. Była tam jedna z moich wizytówek. - Twoja?

- Była kiedy ją odebrałem z drukarni - powiedziałem. – Jest dowodem rzeczowym?

- Myślę, że dobrze o tym wiesz.

- Przez ostatnie dwadzieścia lat, rozdałem prawdopodobnie, pozwólcie mi pomyśleć . . . dwie wizytówki. Skąd mogę wiedzieć, która to z nich?

Mały facet pochylił się. – Tak sobie myślę, że chciałeś aby była znaleziona. Rodzaj reklamy, nieprawdaż?

- Jak każda wizytówka.

Wsunął kopertę do kieszeni płaszcza. - Dużo dostałeś za to?

- Za wizytówkę?

- Za załatwienie Vanderjacka! - warknął duży facet. Uderzył w stolik, rujnując elegancki atak Capablanki.

- Hej! - Krzyknąłem.

- Siedź na miejscu!

Usiadłem z powrotem, podnosząc w górę dłoń. - Nie widziałem Vanderjacka od wczoraj. Mówimy oczywiście o Jimmy'm Vanderjacku?

Policjant spojrział na etykietę mojego Scotcha i zrobił minę jakby to był kwas do akumulatorów. - O świętej pamięci Jimmy'm Vanderjacku. Jego żona powiedziała, że ktoś mu groził. Zgodziłeś się mu pomóc. Nie zrobiłeś tego.

Miałem ochotę go walnąć, ale była to prawda. Schodziłem stopy do kostek próbując mu pomóc, ale nic nie osiągnąłem. A teraz on nie żyje.

\*\*\*

Vanderjack był przysadzistym, podobnym do buldoga facetem, ciągle wycierającym ręką ślinę z kącika ust. Umówił się ze mną po pracy, ale spóźnił się ze względu na duży ruch. Był taki zielony na twarzy, że nic nie wspominałem o spóźnieniu. Zapytałem natomiast, czy nie chce lyknać burbona. To było pytanie retoryczne, biorąc pod uwagę kolor jego twarzy.

- Zwolniliby mnie - powiedział. - Jestem kierowcą w „Wielkim Murze”.

Widziałem te ciężarówki. Miały napis „Wielki Mur Chiński” na boku, z sloganem obiecującym, że mogą przenieść Wielki Mur cegła po cegle.

- Mogę cię poczęstować whisky i miętą.- Wyjąłem puszkę z cukierkami miętowymi z szuflady. Okazała się pusta. Na szczęście, nie zmienił zdania.

- No więc o co chodzi?

Pokazał mi fotografię, wyciągniętą z portfela. - To jest moja żona - powiedział. - I moje córki.

- Nie chodzi chyba o rozwód?

- Oni chcą je zabić, a ja nie wiem dlaczego. - Jego wargi zadrżały. Pomyślałem, że zaraz zwymiotuje. Powiedziałem mu żeby wziął się w garść.

Tydzień temu, kiedy przyszedł do pracy, dyspozytor wręczył mu list. Nigdy przedtem nie dostał żadnej poczty w pracy. Koperta z konopi manilskich nie miała adresu nadawcy. Wewnątrz był kawałek kanarkowo żółtego papieru, z tekstem: „JEŚLI KOMUŚ POWIESZ - ZGINIESZ”.

Na początku myślał, że to żart. Żaden z kierowców nie przyznał się do wysłania listu, ale Vanderjack myślał, że dalej się chcą bawić jego kosztem.

Prawie zapomniał o tym, kiedy podczas oglądania programu z Perry'm Como następnej nocy zadzwonił telefon.

- Nic nie widziałeś - powiedział opanowany głos. - Rozumiesz? Wiemy, gdzie mieszkasz.

Vanderjack nie spał potem zbyt dobrze, ale był twardym facetem i nadal uznawał to za niesmaczny żart. Rano był bardziej rozgniewany niż przestraszony. Innym kierowcom powiedział, że policzy się z żartownisiem. Do popołudnia dostarczył m.in. dwa biurka i regał na dokumenty do redakcji Los Angeles Times. Kiedy wyszedł na zewnątrz, opony ciężarówki były sflaczałe, przebite jakby kółcem do lodu.

Kiedy wreszcie dotarł do domu, jego twardość roztopiła się jak wazelina na piersiach kulturysty. Jakiś mężczyzna zatrzymał na ulicy jego dziesięcioletnią córkę i wręczył jej kopertę dla tatusia. Trzęsącymi się rękami Vanderjack podał mi ten list.

„NIE TYLKO TOBIE MOŻE SIĘ COŚ PRZYTRAFIĆ”. Ten sam kanarkowy papier. Brak znaku wodnego. Brak adresu nadawcy. Zwykła koperta, z niebieską kratką wewnątrz.

Połknąłem moją whisky i napełniłem fajkę. - Na pewno się nie napijesz? - Potrząsnął głową. - Nie sądzisz, że powinieneś powiedzieć mi co takiego widziałeś?

- Naprawdę nie wiem! - powiedział, nagle rozgniewany.

- Słuchaj, jeśli nie powiesz mi o co chodzi, możesz sam ciągnąć tę sprawę dalej. Nie mogę ochronić ciebie albo twojej rodziny, jeśli mi nie zaufasz.

- Mówię prawdę! Nie wiem, o czym mam nie mówić! Jakie przesyłki dostarczam do innej gazety? Czy może na posterunek policji? Oni chcą zrobić krzywdę moim dziewczynom!  
- Uderzył pięścią w drugą dłoń. – Do diabła, nie wiem, co ja tutaj robię. Nie mam pieniędzy na takie rzeczy. To musi być głupi żart. Zabiję tego, kto to wymyślił.

Zastanowiłem się chwilę. Miałem do stracenia tylko kilka następnych dni sam na sam z Capablanką. – Popytam w okolicy - przerwałem mu. - Jeśli nie znajdę niczego, kupisz mi pudełko miętówek. W przeciwnym razie biorę stałą stawkę.

Nie zapytał mnie o wysokość stawki. To wskazywało, że był naprawdę przestraszony.

- To pewnie nie będzie potrzebne - powiedziałem mu - ale lepiej będzie wywieźć żonę i dzieci na jakiś czas.

Odprowadził ciężarówkę do „Wielkiego Muru”, potem odwiozłem go do domu. Jego żona miała bladą skórę i piegi. Należała do tych przepracowanych kobiet, które robią posiłki z odgrzewanego makaronu i mięsa z puszki. Zrobiłem kilka uników, aby zgubić ewentualny ogon i przywiozłem ich do motelu blisko Disneylandu. Był tam basen. Najmłodsza dziewczynka, z dziurą po przednich zębach, nie mogła doczekać się kąpieli. Kiedy dzieci w końcu baraszkowały w płytkim końcu z matką, Jimmy przypominał sobie każdą dostawę z dni poprzedzających otrzymanie pierwszej kartki. Także miejsca, z których dzwonił po nowe zlecenia lub stawał na lunch. Nie pamiętał wszystkich adresów, na szczęście były one na blankietach dostaw. W weekendy nie zapuszczał się dalej niż do lodziarni Dairy Queen dwa domy dalej, a i to tylko ze względu na jego córeczki.

Właściwie jedyną nietypową była dostawa do warsztatu chromowania zderzaków, gdzieś na skraju pustyni – były to beczki z chemikaliami z napisem „substancja żrąca”. Zgubił się i przypadkiem trafił na plan filmowy, przy okazji zasypując pyłem kilka dekoracji. Było tam wielu facetów w mundurach ubranych jak do filmu „Pustynny Lis”. Reżyser był wściekły, ale jego asystent pokazał Vanderjackowi właściwą drogę na mapie. Warsztat cuchnął okropnie. Pomyślał, że woli już jeździć ciężarówką dla zarobku.

- Rozładowujesz sam transporty? - spytałem go. Skądże! Klienci oszczędzają sporo forsy dzięki rozładunkowi we własnym zakresie. On tylko zatrzymał się i otworzył tylną klapę. Był tego dnia sam. Facet jeżdżący z nim poprzedniego dnia nie dostał żadnych gróźb.

Następnego dnia rano zmusiłem jego dyspozytora do pokazania mi jego zleceń. Firma „Wielki Mur” działała sprawnie i szybko, ale na pewno nie tanio. Byli dostawcą „ostatniej szansy”, kiedy nie miałeś czasu, by zaczekać. Pianino, skrzynie z stacji kolejowej, beczki chemikaliów, parę tuzinów kartonów dla firmy ubezpieczeniowej. Jimmy zrobił ze dwanaście dostaw w ciągu dwóch dni. Przejechałem jego trasę, zajeżdżając w każde miejsce w czasie, w którym był tam Jimmy. Jadłem lunch w tym samym barze Woolwortha. Przejrzałem jeszcze raz zlecenie, zapytałem o drogę kelnera i pojechałem do warsztatu na skraju pustyni.

Śmierdziało jakby rozpuszczali stare panny w zbiorniku, ale jeśli to robili, to nie zarabiali za dużo na spadkach. Świeżo pochromowane zderzaki ułożone były w równe rzędkie i wyglądały jak nowe zęby gwiazd filmowych. Właściciel nie był szczególnie przyjazny, ale był zainteresowany pokryciem moich łuszczących się zderzaków nowym chromem. Tak, słyszał odgłosy strzałów z broni palnej i widział kurz, jaki wzbijały ciężarówki ekipy filmowej.

W tamtym miejscu znalazłem tylko łuski, puszki po piwie, starą skarpetę i, kiedy słońce już się obniżyło, grzechotnika wystarczająco dużego, żeby połknąć Buicka. Miałem dosyć tego piekielnego miejsca.

Miałem jeszcze kilka możliwości. Prawnik, któremu dostarczono pianino miał zaszarganą reputację. Jeden z budynków, do którego Jimmy dostarczył towar należał do fikcyjnej firmy, ale to nic nie znaczyło. Sekretarka, którą znałem w wytwórni Universal słyszała coś wojennym

filmie, ale nie wie czy jeszcze jest kręcony. Scenarzysta, który był kiedyś moim klientem, mówił, że ludzie z TV czasem się zakradają na pustynię i kręcą nielegalnie dla obniżenia kosztów.

Po trzech dniach dalej nie miałem nic, oprócz bolących stawów. Odwiedziłem znów Vanderjacka, ale nie przypomniał sobie nic nowego. Nie było też nowych gróźb, więc powiedziałem mu, że prawdopodobnie już po wszystkim. Ucieszył się bardzo, że może wrócić z żoną i dziećmi do domu.

- Nie po to się ożeniłem, żeby sypiać samotnie - powiedział.

To była ostatnia rzecz, jaką do mnie powiedział. Kazałem mu zapomnieć o cukierkach miętowych dla mnie, zamiast tego miał kupić słodczyce dzieciom.

\*\*\*

- To było wczoraj - powiedziałem małemu policjantowi.

- Vanderjack został wezwany do pracy wczoraj po południu i tam zginął. - Zerknął na swojego partnera.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym, Marlowe? - spytał duży facet.

- Ponieważ nic o tym nie wiedziałem. Dlaczego, wy głupki, chcecie przypiąć to do mnie? Duży facet kopnął szachownicę. Figury rozsypały się po podłodze.

- Albo je pozbierasz - warknąłem - albo wepchnę ci je do nosa.

- Spokojnie! - parsknął mały policjant - Co my tu mamy? Vanderjack coś widział. Powiedział ci, co to było. Albo coś, o czym mówił, skojarzyło się ci. Na mój gust tu chodzi o zniknięcie tego gangstera, Sonny'ego Williamsa. Widzisz szansę, by zarobić parę groszy. Rozmawiasz z mafią. Vanderjack ma do ciebie zaufanie. Bez problemów go zabijasz. Podrzucasz swoją wizytówkę, aby chłopcy od spaghetti wiedzieli, że to twoja robota.

- Siedzisz zbyt blisko swojego telewizora. Promieniowanie wypaliło ci mózg. Aresztuj mnie albo wynoś się z mojego pokoju.

- Nie wcześniej, niż obejrzymy twój pistolet - powiedział duży waśniak. Miał nadzieję, że będzie miał pretekst do zaatakowania mnie. Musiał widzieć moją 38-mkę z miejsca gdzie stał, po drugiej stronie stołu.

- Weź go - powiedziałem - ale przynieś z powrotem. Może będę potrzebował zabić następnego klienta.

- Bardzo zabawne - powiedział mały policjant. - Możesz być pewny, że wrócimy.

Duży policjant pochylił się, aby włożyć mój pistolet do kieszeni kurtki. Mógłbym kopnąć jego między oczy. Spokojnie, Marlowe, musisz zachowywać się dystyngowanie. - Nie dostanę pokwitowania?

Zanim odeszli, duży policjant rozdeptał jeden z moich pionków na podłodze. Pomyślałem o anemicznej żonie Jimmy'ego Vanderjacka. Przypomniałem sobie, jak patrzył na swoje córki w basenie. Czuję się gorzej niż zgnieciony pionek.

Nie czekałem do rana. W całodobowym barze zamówiłem kawę dla rozjaśnienia umysłu i jeszcze raz przemyślałem całą sprawę. Nic mi nie zaświtało. Cokolwiek Jimmy zobaczył, było na tyle ważne, że śledzono go, ostrzeżono i w końcu, zabito. Ktoś go musiał zauważyć, gdziekolwiek to było. Dlaczego Jimmy nie wiedział o co chodziło? Dlaczego ja nie potrafiłem tego wyjaśnić? Kobieta w domu prawnika? Jimmy wziął ją za jego żonę, ale czy nią była? Być może to co dostarczył, nie zgadzało się ze zleceniem i myśleli, że to zauważył. Trup w pianinie? Marynarka Sonny'ego Williamsa z monogramem? Zderzak od Porsche'a Jamesa Deana?

Wczesnym rankiem zajechałem do bazy „Wielkiego Muru”. Jimmy został zastrzelony w swojej ciężarówce za magazynem, dostał co najmniej osiem kul z czterdziestki piątki. Pistolet, który mi zabrali był kalibru 38. Albo wciskali mi kit albo byli głupi. Stawiałem na to drugie.

Powróciłem myślami do filmu kręconego na pustyni. Brzmiałoby to dziwnie w każdym innym mieście oprócz Los Angeles. Tutaj na każdym kroku możesz wpaść na Draculę, wyżebrać papierosa od Mickeya Rooneya, albo wleźć w to, co pudel Jayne Mansfield zostawił na chodniku, kiedy ona odciskała ręce w mokrym cemencie. Oddział roślących facetów maszerujących w nazistowskich mundurach jest tak normalny jak to, że niedzielny ranek spędzasz w kościele.

Może coś zobaczył po drodze?

Zadzwoiłem do reportera, który kręcił się przy filmie. Był wściekły, że go obudziłem, ale powiedział, że co najmniej trzy studia filmowe kręcą filmy wojenne. A kto wie ile było wytwórni niezależnych, telewizyjnych czy nawet kręcących filmy pornograficzne, które mogły używać mundurów Afrika Korps?

Wróciłem do punktu wyjścia. Miałem przede sobą wiele kawałków, z których nie mogłem ułożyć żadnego wzoru. Byłem zniechęcony. Być może czas rzucić to zajęcie, ożenić się, hodować róże i włosy w nosie. Bez szczególnego powodu zdecydowałem się jechać z powrotem na pustynię. Ostatnio nic tam nie wskórałem i nałykałem się tylko kurzu. Może tym razem dopisze mi szczęście. Wszystko w tej sprawie jest „może”.

Nie jadłem nic odkąd policjanci weszli do mojego salonu. Miałem niesmak w ustach i kiedy zatrzymałem się zatankować, kupiłem nowe pudełko miętówek.

Błyszczący sedan na autostradzie od razu wydał mi się podejrzany. Kiedy skręciłem z szosy na pustynię, a on za mną, byłem już pewny, że to policja. Co tutaj robili? Postanowiłem dać im trochę czasu na przybrudzenie samochodu. Jechałem dosyć szybko. Zrobiliśmy pięć albo sześć mil i kilka zakrętów. Zjechałem wreszcie na bok i oparty o samochód ssiałem miętówkę.

Zatrzymali się około dwadzieścia stóp od mnie, omiatając światłami pustkę dokoła i patrzyli na mnie przez chwilę przez szybę. Kiedy wysiadali z auta, w rękach mieli czterdziestki piątki. Mogliby być bliźniakami - podobne fryzury, identyczne okulary przeciwsłoneczne. Jedyne czym się różnili, to blizny na twarzy. Ich garnitury, wypchane w ramionach, były zbyt szykowne dla policjantów, a ich buty zbyt konserwatywne dla ludzi z mafii.

- Panowie - powiedziałem – miło was spotkać w tym pięknym miejscu.

- Trzymaj swoje ręce tak, żebym mógł je widzieć, Marlowe - powiedział kierowca. - Tylko od ciebie zależy, czy dostaniesz kulkę. Chcemy wiedzieć co Vanderjack ci powiedział i komu ty powiedziałeś o tym.

- Był dobrym człowiekiem. - warknąłem. - Nigdy nie pił w pracy. Oglądał Perry’ego Como w telewizji. Lubił sypiać z żoną. I kochał swoje córki.

Zbliżyli się do mnie powoli, pistolety były skierowane w stronę mojej głowy.

- Zabawny facet - uśmiechnął się ten z mojej lewej. Obróciłem się, by popatrzeć na jego partnera, kiedy biały ból w czaszce oślepił mnie. Kiedy się ocknąłem leżałem na ziemi, niedaleko mojego wozu. Duże ręce szarpnęły mnie do siedzącej pozycji. Jęknąłem. Udawałem zamroczonego, ale jak długo można? Puszka miętówek ugniatała mnie w kieszeni spodni. Próbowałem wzbudzić w sobie jakąś nadzieję. Może uratują mnie pracownicy z warsztatu od zderzaków, albo faceci z filmu w niemieckich mundurach, albo cokolwiek co mogłoby żyć tu na pustyni.

- Pospiesz się - powiedział ten, który mnie podtrzymywał. – Wkrótce będzie ciemno.

Drugi włożył swój pistolet do kabury po ramieniu i kucnął obok mnie. Poczulem ręce szukające w kieszeniach i pod pachami. Nagle runąłem naprzód jak gdyby znów mdlejąc, miętówki w puszcze zagrzechotały.

-Waż! - Krzyknąłem. Mężczyzna, który mnie obszukiwał przewrócił się do tyłu, gubiąc swoje okulary i szamocąc się jak krab przewrócony na plecy. Skoczyłem na niego, wyrwałem mu pistolet i skierowałem go na jego partnera. Czterdziestka piątka miała cholerny odrzut, mimo to moja kula trafiła go w biodro, podczas gdy jego pocisk rozbił tylko przednie światło w moim aucie. Mój następny strzał wbił mu spinę do krawata w płuca.

Obróciłem się w samą porę, by zobaczyć pierwszego mężczyznę, nadal leżącego na plecach, sięgającego po mały pistolet przymocowany do łydki. - Nie rób tego - powiedziałem, ale on chwycił za rękojeść. Siła czterdziestki piątki rozpląszczyła go na ziemi, jakby olbrzymia ręka rozgniotła muchę na blacie.

Trzy godziny później, zadzwoniłem do drzwi rezydencji wielkości Taj Mahal, ale zbudowanej z większej ilości marmuru. Drzwi otworzył facet w smokingu z włosami ulizanymi jak u lokaja.

- Chciałbym widzieć się z panem Oswaldo Blanco - powiedziałem.

- Proszę skontaktować się z jego biurem.

Moja głowa pulsowała ciągle bólem i nie byłem w miłym nastroju.

- Jego tam nie ma. Spóźnia się. Jest tutaj.

- Pan Blanco nie zajmuje się interesami w domu. - Poruszył się, żeby zamknąć drzwi.

Zatrzymałem drzwi ręką. - Powiedz mu, że Philip Marlowe chce się z nim zobaczyć, czy tego chce czy nie.

Facet uniósł brwi. - Proszę za mną - powiedział szybko. Wszedłem do okrągłego gabinetu. Naprzeciw oszklonych drzwi do patio, stało biurko wielkości lotniskowca. Facet podszedł do niego i otworzył szufladę.

- Jeśli jest tam pistolet - powiedziałem, wypychając czterdziestką piątką kieszeń - nie radziłbym.

Wyjął książeczkę czekową. - To szantaż, jak przypuszczam?

- Złe pan przypuszcza, panie Blanco. Jestem tutaj tylko po to, aby wyjaśnić czy zlecił pan swoim cynglom zabić Jimmy'ego Vanderjacka, czy zrobili to na własną rękę.

Blanco usiadł w swoim wielkim fotelu i uśmiechnął się. - Jakiego Jimmy'ego?

Podniosłem srebrny otwieracz do listów i dźgnąłem nim mocno w blat biurka. - Nie bądź taki cwany. Twoi ludzie jechali za mną. Samochód był firmowy. Należał do twojej firmy. Wyjąłem różowy dowód rejestracyjny. - Ciekawe, co tak naprawdę importujesz i eksportujesz?

- Lepiej się tym nie interesuj, Marlowe. Jestem pewny, że możemy się dogadać. Rzeczywiście, moi ludzie źle się zachowali. Dwadzieścia pięć tysięcy?

- Pięćdziesiąt - powiedziałem. - Gotówką.

Powoli otworzył boczną szufladę. Była pełna banderolowanych banknotów. Wyjął pięć paczek i ułożył w stosik przykrywając go obydwojema rękami. - Mam jeden warunek - powiedział.

- Muszę wiedzieć, co ty wiesz. Muszę wiedzieć, co wiedział Vanderjack. Muszę wiedzieć, kto jeszcze o tym wie.

- Ich też zabijesz?

Pochylił się do przodu - To są ważne sprawy, mój przyjacielu.

- Życie i śmierć też. - Obszedłem biurko dookoła i chwyciłem go za klapy marynarki.

- Jimmy Vanderjack ciężko pracował i kochał swoją rodzinę. Czymkolwiek był twój sekret, nie powinien umierać, bo go nie poznał.

- Mam go załatwić teraz, panie Blanco? - usłyszałem nagle.

Poderwałem Blanco na nogi i trzymałem przed sobą, trzymając pistolet przy jego skroni. Facet stał się w cieniu w drugim końcu pokoju, jego automatyczny karabin był wymierzony w nas. Miał ochraniać Blanco, a teraz nie wiedział, co robić. Blanco wydawał się rozbawiony całą sytuacją. - Panie Marlowe – powiedział - nie mamy powodu do kłótni. Niech pan weźmie pieniądze i zapomni o wszystkim.

- Przepraszam, ale nie wydaje mi się, żebym mógł zapomnieć wcześniej niż pani Vanderjack, albo jej córeczki. To taka skaza charakteru. Każ mu odłożyć karabin.

- Byłbym głupcem, gdybym tak zrobił, prawda, panie Marlowe?

Przycisnąłem pistolet mocniej i przyduśiłem go przedramieniem.

- Co Jimmy widział? No co?!

Rozluźniłem nieznacznie uścisk. Blanco złapał oddech. Poczulem zapach cygara i pomady do włosów. Odkaszał. - To jest bez sensu. - powiedział. - Jeśli mnie zabijesz, nigdy się dowiesz. Póki żyję, ja nie powiem tobie. Weź pieniądze, Marlowe. Wracaj do domu.

Facet z karabinem wystąpił naprzód. - Jeszcze jeden krok i go zabiję! - krzyknąłem.

Czułem, jak Blanco bierze głęboki oddech i prostuje się, jak gdyby szykował się do czegoś. Teraz wiedziałem, dlaczego jego ochroniarz się poruszył. Ktoś pośliznął się za mną, na patio za szklanymi drzwiami. Nie mogłem się obrócić. Tylko na to czekali.

Usłyszałem dźwięk rozbijanej szyby i Blanco osunął się miękko jakby na sygnał. Nie oczekiwali, że upadnę razem z nim. Obróciłem się i w locie zacząłem strzelać przez oszklone drzwi, spodziewając, że biurko zasłoni mnie przed facetem wewnątrz pokoju. W krzyżowym ogniu eksplodowała lampa i posypały się drzazgi z mahoniowego biurka. Facet na zewnątrz leżał jak zmięta szmata. Potrzebowałem kilku chwil, aby moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Mężczyzna w pokoju upadł tyłem do kominka. Pokój wypełnił się smrodem jego płonących włosów. Blanco leżał na brzuchu i mamrotał coś, co mogło być modlitwą po hiszpańsku. Podpełznąłem do niego przez rozbitego szkło. - Madre!- wyszeptał wraz z ostatnim tchnieniem. Popełnił błąd chowając się za biurkiem, w miejscu gdzie była tylko cienka dykta zasłaniająca kolana.

Szczeły chyba wszystkie psy w okolicy. Wepchnąłem dziesięć paczek banknotów z szuflady do mojego płaszcza i wsadziłem czterdziestkę piątkę pod resztę z nich. Wróciłem do swojego samochodu. Pieniądze Blanco nie wrócą życia Jimmy'emu, ale przynajmniej zapewnią jego córkom życie na przyzwoitym poziomie.

Co Jimmy widział? Nigdy się tego nie dowiedziałem. Drażniło mnie to jak ukąszenie moskita. Policja uznała strzelaninę w domu Blanco za komunistyczny spisek i nigdy mnie z tym nie połączyli. Jeśli inne agencje rządowe nawet coś podejrzewały, nic nie wypłynęło. Blanco był kiedyś kubańskim generałem. Uciekł z wyspy, kiedy Castro doszedł do władzy. Mając duże pieniądze w szwajcarskim banku, spędzał czas na hazardzie i romansach z gwiazdkami filmowymi. Kiedyś go widziano, jak ścisnął dłoń gangstera Sonny'ego Williama, zaginionego w Brown Derby, ale nikt nie mógł udowodnić bliższych związków między nimi. Widziałem też jego zdjęcia z burmistrzem i wiceprezydentem Nixonem. No i co z tego?

Wracam myślami do filmu, o którym nikt nie wiedział. Czy Blanco szkolił na pustyni ludzi przed atakiem na Kubę? Jeśli tak, to gdzie oni teraz są? A może był to tylko przekręt jakiegoś bankruta, który zniknął bez śladu? W Los Angeles takie historie zdarzają się codziennie.

Sześćdziesiąt cztery pola i szesnaście figur przede mną. Jeśli będę się gapić się na szachownicę wystarczająco długo, być może pewnego dnia wpadnę na rozwiązanie. Może tak,

może nie. Nadal czasami rozpytuje wokoło. To nie była pierwsza sprawa, której nie byłem w stanie wyjaśnić, ale jedyna, o której nie mogę przestać myśleć.

*J. Madison Davis*